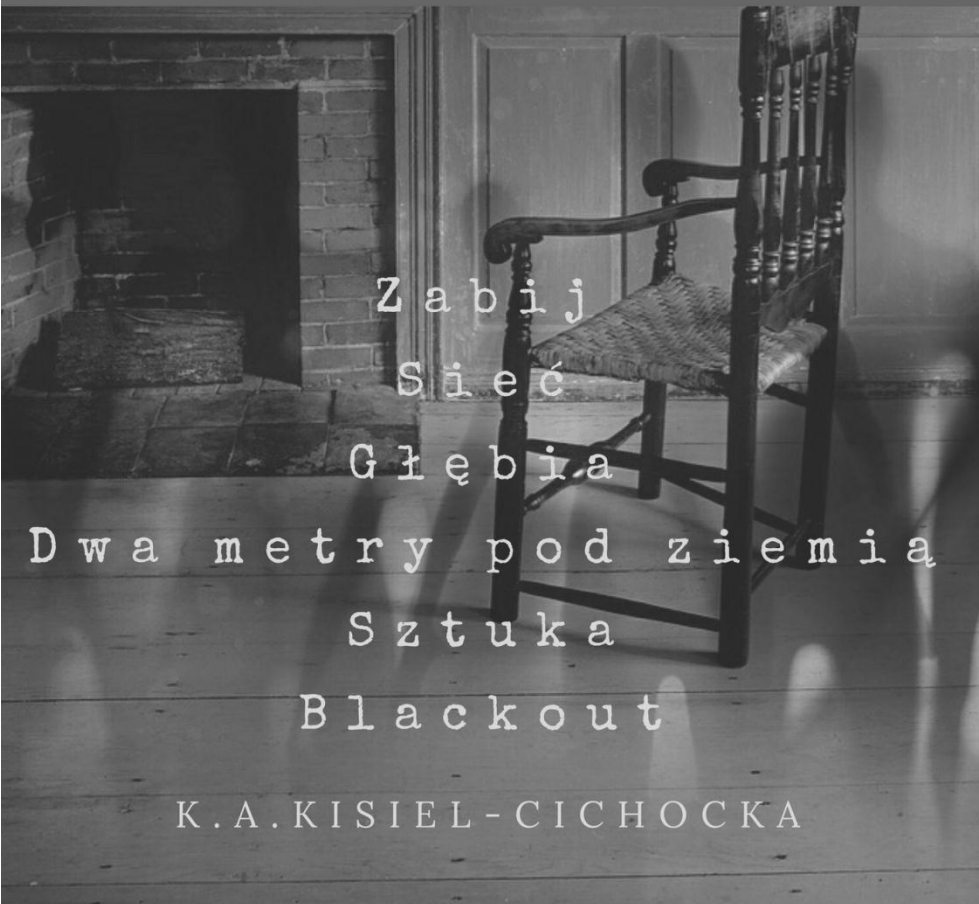




KOLEJNA NOCNA ZMIANA



Zabij
Sieć
Głębia
Dwa metry pod ziemią
Sztuka
Blackout

K.A.KISIEL-CICHOCKA

Kolejna Nocna Zmiana

- **Zabij**
- **Sieć**
- **Głębia**
- **Dwa metry pod ziemią**
- **Sztuka**
- **Blackout**

“Zabij”

Gdy szukała, jej ruchy robiły się coraz bardziej chaotyczne. Zrzuciła papiery z biurka i wydała z siebie gardłowy ryk. Z każdą chwilą zezwierżenie postępowało, a ona nie mogła znaleźć antidotum. W ostatnim przebłysku świadomości wyszarpnęła ciężką szufladę. Pomiedzy rozrzuconymi bibelotami leżała strzykawka. Naładowana.

"Zabij się!" pomyślała gorączkowo, próbując walczyć z serum.

Pole widzenia zaczęło się zawężać, a słuch się wyostrzył. Wciągnęła powietrze i sięgnęła po pistolet. Czuła odległą woń żelaza. Krwi, której źródło leżało przy drzwiach.

— Je-ssie... — wycharczała ranna. — ra-tuj...

“Zabij!” rozkazała.

Strzykawka wypadła z dłoni tłukąc się na podłodze. Wciągnęła nosem zapach ofiary i ruszyła na łowy.

“Sieć”

Tekla odłożyła druty. Sweter dla jej dzisiejszego gościa był gotowy. Rozejrzała się po przytulnym salonie. Wszystko dokładnie wysprzątała. Poprawiła kapcie, wstała i poszła do kuchni. Powiesiła prezent przy drzwiach prowadzących na zewnątrz, wprost do jesiennego ogrodu. W powietrzu pachniało opadającymi liśćmi i rosnącymi grzybami.

Przeprowadziła się na obrzeża lasu dokładnie rok temu, rozstając z matką i rodzeństwem. Był wtedy tak samo słoneczny, wrześnieowy dzień, a ciepły wiatr przyjemnie muskał po ciele. Z braćmi w ogóle nie miała kontaktu, prawdopodobnie przeprowadzili się za Wielką Wodę. Raz, na wiosnę, spotkała swoją siostrę. Prawie jej nie poznała. Odpowiedzialność za własną rodzinę strasznie ją zmieniła. Na szczęście pozbyła się wreszcie męża—wałkonia i mogła zająć sobą. Kobieta dziękowała opatrności, że nigdy nie poznała szwagra. Musiał być okropną osobą.

Usłyszała pukanie.

— Proszę, proszę — otworzyła drzwi. — Witaj Maju. Nie mogłam się doczekać.

Młoda dziewczyna niepewnie weszła do środka rzucając nerwowe spojrzenia dookoła. Przez chwilę patrzyła na ogród za sobą, jakby w każdej chwili gotowa była wybiec na zewnątrz.

— Usiądź — Tekla zatrzasnęła drzwi — nie lubiła przeciągów — i wskazała na krzesło przy małym stoliku kuchennym. Poprowadziła gościa na miejsce. — Napijesz się czegoś? — zapytała wyciągając filiżanki z kredensu. — Na pewno z przyjemnością spróbujesz mojego soku, według starego, rodzinnego przepisu.

Nalała mlecznożółty płyn i podała Mai. Dziewczyna z trzęsącymi dłońmi upiła łyk. Gospodyni obserwowała ją łapczywie.

— Prawda, że pyszny? — zapytała dolewając.

Tamta przytaknęła wyraźnie się rozluźniając. Przestała zerkać na drzwi, skupiając swoją uwagę na starszej kobiecie.

— Przygotowałam specjalnie dla ciebie mały drobiazg — Tekla podbiegła do wieszaka na ubrania i złapała za sweter. Podała Mai przyglądając jej się uważnie. — Powinien być dobry, przymierz.

Dziewczyna przez chwilę się zawahała, ale założyła sweter.

— Ślicznie wyglądasz — uśmiechnęła się Tekla. — Choć, usiądziemy w salonie i porozmawiamy.

Zaprowadziła gościa i posadziła w fotelu przed kominkiem. Dziewczyna wtuliła się w miękkie poduchy przymykając oczy. Na jej twarzy malował się spokój i całkowite rozluźnienie. Przytulne pomieszczenie oraz ciepło rozgrzewające ciało po wypiciu soku zrobiły swoje.

— Wygodnie? Ciepło? — zapytała troskliwie Tekla, gdy Maja przytaknęła, uśmiechnęła się zacierając dłonie. — To bardzo dobrze, bo zgłodniałam.

“Głębia”

— Ok, za pięć minut schodzimy, sprawdźcie sprzęt — instruktor zerknął na wszystkich adeptów sztuki nurkowania. — Jakież pytania?

Stojąca z tyłu Malwina była najmniej entuzjastyczna z całej grupy. Właściwie, ona nigdy nie planowała zostać poławiaczem, po prostu to była obecnie najlepiej płatna praca. Odkąd na środku Bałtyku spadł olbrzymi meteoryt, morze dostarczało gigantycznych i pożywnych kalmarów. Wprawdzie podejrzanie zmniejszyła się populacja fląder, a foka szara i morświn przestały występować, ale kalmary, które szczególnie upodobały sobie południe akwenu stały się naczelnym towarem eksportowym Polski.

Matka Malwiny była biologiem, do tego kucharką z zamiłowania. Apodyktyczną babą, która sterowała życiem dziewczyny w każdym możliwym aspekcie. Jedynym sposobem na uwolnienie się spod jej wpływów było zdobycie pracy, o ironio, w branży, do której pani doktor zachłannie się śliniła. Zresztą, z nędną maturą i jednym kursem wizażu dwudziestolatka nie mogła liczyć na nic więcej. To, że przeszła testy sprawnościowe graniczyło z cudem.

A teraz naszły ją wątpliwości.

Woda w Bałtyku była ciemna i brudna, a te stwory wcale nie były niegroźnymi masami mięcha, tylko inteligentnymi drapieżnikami niczym z powieści Juliusza Verne’a. W jej grupie byli ludzie od niej starsi, sprawniejsi i, co chyba najgorsze, doświadczeni w nurkowaniu. Była nawet jedna freediverka, która bez butli schodziła bez zająknięcia na 30 m. Dla Malwiny była to absurdalna wręcz głębokość.

Nigdy nie nauczyła się dobrze pływać. Znaczy tak, nie tonęła, nawet potrafiła obrać kierunek i w miarę utrzymać kurs, ale pływała tylko niekrytą żabką. Teraz musiała przestawić się na płetwy na nogach i operowanie w trójwymiarze. A oprócz przebywania pod wodą, czekała ją jeszcze nauka

obsługi broni i zastawiania siatek. Jak starożytny gladiator, będzie stawała do walki z bestią. Ale kto by nie chciał tego robić? Poławianie stało się bardziej prestiżowe niż praca w wojsku. Na pewno było bardziej niebezpieczne i dużo lepiej płatne.

— Dobra, jak komuś zacznie się robić dziwnie, ciągnie za linkę — powtórzył po raz dziesiąty w tym dniu instruktor. — Wyciągniemy go powoli, dlatego nie panikujcie. Oszczędzajcie też race. Warto, żebyście się dogadali jak będziecie działać.

To była tylko szpanerska formalność.

Plan był ustalony już dawno. Każdy z poławiaczy miał po trzy race, używali je według starszeństwa godzin pod wodą, by najmniej doświadczeni mieli racę najdłużej. Malwina była z tego zadowolona, bo do ostatnich chwil miała nadzieję, że ma światło awaryjne. Wszyscy mieli już opanowane nurkowanie w basenie, gdzie było widno i bezpiecznie, to miało być pierwsze zejście do prawdziwej głębi.

Było ich sześcioro plus instruktor. Wprawdzie na razie schodzili tylko do zatoki, ale ostatnio wielkie kalmary zaczynały pojawiać się w okolicach Helu. Póki co nie było zbyt wielu ofiar śmiertelnych, jednak samo nurkowanie ciągnęło za sobą spore niebezpieczeństwo, dodatkowo jeszcze trzeba było doliczyć wielkie monstra.

— Po kolei, wskakujecie i podpływacie parę metrów dalej, żeby zrobić miejsce innym. Nie poplączcie linki.

Gdy przyszła kolej na nią, cała grupa już była ustawiona w szyku. Skok do ciemnej wody napawał ją odrazą. Nigdy nie lubiła jeździć nad morze. Ale gdy znalazła się pod powierzchnią brudnej wody okazało się, że poniżej widzi członków zespołu. Dopłynęła do swojej pozycji w szeregu, a szefowa grupy, freediverka, odpaliła pierwszą racę i zaczęli schodzić niżej.

Ich zadanie było proste, zejść na piętnaście metrów, rozstawić sieć, złożyć i wrócić na powierzchnię. Podczas tych czynności musieli uważać, żeby nie poplątać swoich lin.

Gdy przysła jej kolej odpalenia racy, sieć była rozstawiona i gotowa do użycia. Odpalając ją, Malwina była pewna, że zaczną zwijać liny i przy kolejnej racy będzie już blisko powierzchni. Jak się jednak okazało, jeden z nurków zauważył ciemny kształt poniżej, który w bardzo szybkim tempie płynął w ich stronę.

Najbardziej doświadczona pływaczka wskazała Malwinie, by ta napięła swoją część liny. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że ta banda żółtodziobów naprawdę chce upolować tego potwora.

Nim się zorientowała, poczuła szarpnięcie. Odruchowo wypuściła linę z dłoni i zobaczyła jak galaretowaty kształt przepływa obok niej, cały splątany siecią. Reszta kursantów zdążyła się wypiąć z uprząży. Malwina zorientowała się, że jej hak jest zablokowany, gdy było za późno. Szamotała się jeszcze przez chwilę, jednak napięta lina zaczęła ją po prostu ciągnąć w stronę powierzchni albo wręcz przeciwnie, w głąb.

„Dwa metry pod ziemią”

Chmury przesłoniły gwiazdy. Wzdłuż murów kościelnych szły trzy postacie. Każda w jednej ręce trzymała pochodnię, a w drugiej łopatę. Ubrane były w ciemne płaszcze z kapturami zakrywającymi twarze. Dróżka za kościołem prowadziła na cmentarz. Sylwetki przekroczyły bramę. Oświetlały sobie drogę między kamiennymi grobami.

— To ten — zatrzymały się przy jednym z nich. Wyglądał na świeżo wymurowany, stało na nim kilka świeczek i świeży wieniec chryzantem.

Postacie odrzuciły na trawę łopaty, zatknęły pochodnie w spulchnionej ziemi i zaczęły przesuwając płytę nagrobną. Świeczki spadły rozlewając wosk na ścieżkę. Po chwili mocowania zostały przygniecione przez ciężki kamień.

Jeden z zakapturzonych wziął łopatę, wskoczył do środka grobu i zaczął kopać. Wokół prawej ręki miał owinięty różaniec. Jego dwaj towarzysze dołączyli do niego. Piach nie był zbyt mocno ubity, poddawał się kopiącym. Niedługo potem metal uderzył o wieko trumny.

— Ojczy, gdzie jest Księga? — rzucił najmłodszy z mężczyzn.

Drugi z nich odłożył swoją łopatę. Wyszedł z grobu i wyjął spod płaszcza oprawioną w skórę książkę. Otworzył ją wymawiając Pater Noster wdzięczną i lekką łaciną. Wprowadziło to dysonans do poczynań rozkopujących, niczym hieny cmentarne, pozostałych.

Gdy trumna została wyjęta z grobu, trzech zakonników przystanęło nad nią. Spojrzeli po sobie.

— Otwórzcie — polecił najstarszy, ciągle trzymając otwartą Księgę.

Jego bracia przystąpili do dzieła. Drewno szybko ustąpiło, trumna była wykonana z lichej dykty. Uderzył ich nieprzyjemny, mdły zapach rozkładu, jednak wprawne nozdrza szybko dostosowały się do odoru.

W środku leżała młoda kobieta w pięknej, białej sukni. Ogniste, kręcone włosy rozlewały się na białej, atlasowej poduszce. Usta kobiety pomalowane były na czerwono. Skóra zdążyła przybrać sino błękitny odcień, którego nie ocieplila nawet pochodnia.

— Sprawdźcie trzy oznaki — rzucił enigmatycznie trzymający Biblię zakonnik.

Najmłodszy podniósł do góry dłoń trupa i przyjrzał się dokładnie paznokciom. Były nienaturalnie długie, a skóra na palcach opinała kości.

— Paznokcie urosły — odparł.

Jego towarzysz przekręcił głowę zmarłej i przyjrzał się włosom na karku. Na szerokość palca od skóry były blade, prawie przezroczyste.

— Włosy też, na pewno nie widziała słońca — podsumował układając ciało z powrotem na poduszce.

— Czemu jej rodzina nie zakupiła lepszej trumny? - zagadnął najmłodszy.

— Chłopcze, tą sprawą nie powinienes zaprztać sobie głowy — zganił najstarszy. — Łatwiej nam teraz dociec prawdy, a wampiry i tak mają dość siły, by dębową trumnę otworzyć. Lepiej sprawdź trzeci znak. Bracie przygotuj kołek. — polecił.

Młody zakonnik zerknął na wychodzący zza chmur księżyc, a potem ostrożnie rozchylił usta, rozświetlonej przez nocne niebo, kobiety.

A ona spojrzała na niego.

„Sztuka”

Nie rozumiał, co jej zrobił, ale wiedział, że zrozumie, gdy już skończy. Poprawił sztalugę. Kilka machnięć pędzla zalało płótno czerwienią. Pokręcił głową niezadowolony odrzucając na bok narzędzie. Włosie było zbyt twarde. Zanurzył palce w misce, a później odcisnął je na powstającym obrazie. Od kciuka pociągnął zmysłowy zarys ust. Zawsze przygryzała dolną wargę, aż dorobiła się blizny. Zgrubienia, które wielbił. Teraz poświęcił mu ledwie chwilę, nie oddając należnego szacunku. Małym palcem odrysował nosek, śmiesznie zmarszczony, gdy się złościła. Wskazujący i środkowy przeznaczył na włosy, kiedyś piękne, długie i lśniące. Kiedyś. Serdecznym bardzo ostrożnie, wahając się przez dłuższą chwilę, zajął się oczami. Czerwień mu nie pasowała i musiał odbyć długą rozmowę sam ze sobą, żeby się przekonać do tej konkretnie formy.

— Tak będzie lepiej — powiedział na głos, niszcząc rytualną ciszę, którą stworzył specjalnie dla niej.

Słowa nabrały mocy sprawczej, ale czegoś mu brakowało. Zdjął obrączkę, namoczył ją w kolorze i odcisnął dwa kręgi lekko rozsmarowując. Obrączka wyslizgnęła mu się z ręki i chlupnęła w misce. Zamoczył palek wskazujący lewej ręki, z rozmysłem i zaczął kreślić linię podbródka i szyję. Pieszczota, którą uwielbiała. Odsunął się od płótna przyglądając jej po raz ostatni.

— Byłaś taka piękna...

- Niewyjaśniona śmierć w galerii sztuki -

Wczoraj rano policja znalazła zwłoki mężczyzny i jego żony w galerii, którą oboje prowadzili. Interwencja miała miejsce, gdy przechodnie zauważyli czerwony na podłodze zamkniętej galerii. W środku znaleziono powieszzonego trzydziestopięciolatka i jego dwudziestosiemioletnią żonę. Ciało kobiety zostało zmasakrowane. Trwają ustalenia dotyczące okoliczności zajścia. Rodzina zmarłych odmówiła komentarza, wiemy jednak, że kobieta od pół roku walczyła ze śmiertelną chorobą... Ostrzegamy państwa, gdyż prezentowany materiał jest drastyczny.

“Blackout”

Słońce widziałem ostatnio jakieś dwa tygodnie temu. Nie była to kwestia nocnych zmian w grafiku czy zarywania nocy w wolne weekendy. Po prostu. Cholerne słońce siedziało za chmurami już od dwóch tygodni. I, co jeszcze lepsze, od dwóch tygodni z żadnej z tych chmur nie skapnęła ani jedna kropla, a przymrozki były coraz mocniejsze. Tak jak zapowiadali parę lat temu, szykował się blackout w zimę. Pracuj wtedy jako technik w elektrowni, jak ja. Było wyjechać na Wyspy. Nie no, za dobrze mi, żeby rzucać wszystko. W końcu płacą za nadgodziny, umowa na czas nieokreślony, trzymiesięczne wypowiedzenie, płatne urlopy. Wszystkie możliwe przywileje. Ale wiecie, jak to mówią: Polakowi zawsze źle. To narzekam.

Kolejna nocna zmiana. Odbij kartę, zasiądź na stanowisku i pilnuj kontrolki. Gap się kilka godzin jak ten jełop w kolorowe lampeczki i wykresy, które dla zwykłych ludzi po prostu świecą i bucą, ale ty wiesz, że pompa pracuje na 30%. Lubię tę wiedzę tajemną. Trochę cię nobilituje poczucie, że jak zaśniesz na zmianie to możesz wywołać katastrofę.

Oprócz mnie na nocce siedzi jeszcze Krzysiek i pan Zdzych. Krzysiek jest młodszy stażem u nas, ale pracował wcześniej we Francji przy jądrówce. Do tej pory milknie niezręcznie, gdy ktoś zapyta przypadkiem, jak tam było. A plotki krążą. Jedna twierdzi, że był wypadek i ktoś zginął. Ja Krzyśka nie męczę pytaniami, bo wiem, jak sumienie w takiej sytuacji może dać w kość. Nawet, jeśli to był nieszczęśliwy wypadek, a ciebie uniewinniono. A może zwłaszcza przez to.

Pan Zdzych, senior jeszcze z poprzedniego ustroju, jeden z ostatnich w firmie, zna elektrownię jak własną kieszeń. Zna też każdego sierściucha grzejącego się na rurach i polującego tu na szkodniki. Każdemu nadał jakieś imię. Nie wiem, dla mnie są tylko burasy i chyba jakiś rudy. Może z raz

mignęło mi coś czarnego jak przychodziłem do zakładu. Pan Zdzych potrafi przysnąć podczas dyżuru, ale, mimo to, czuwa wtedy i zawsze otworzy oczy w odpowiednim momencie by zmienić ustawienia. Twierdzi, że elektrownia mówi mu, co się dzieje.

Standardowo wystarczą dwie osoby, ale normy bezpieczeństwa wymagają tego trzeciego do towarzystwa. Może to i dobrze, bo nie jest tak nudno.

— Tomuś, skoczyłbyś po kawkę może? — pan Zdzych rzucił w moją stronę. — Taką jak zwykle.

W tej prośbie nie było nic specjalnego, bo zawsze pił kawę, a potem drzemał dziesięć minut. Tylko zawsze ganiał Krzyśka. Normalne, że gania się koty. Czyżby Krzysiek przeszedł okres próbny?

W sumie i tak chciałem się ruszyć, to czemu przy okazji nie wyręczyć kolegi. Do pokoju socjalnego czekał mnie krótki spacer. Szybkim tempem zajmował trzy minuty, normalnym jakieś pięć. Łącznie z przygotowaniem kawy w termosie można było stracić nawet pół godziny, jeśli termos trzeba było umyć. Podczas nocnego czuwania to naprawdę długo.

Znam te korytarze na pamięć, równie dobrze mógłbym chodzić tędy po ciemku. Trzydzieści kroków prosto, skręt w prawo, kolejne pięćdziesiąt, drzwi, czytnik na kartę pod klamką, piknięcie i dalej prosto. Zamrugało światło. Pewnie znowu przepali się żarówka. Dobrze, że koło socjalnego jest składzik, to od razu wezmę na wymianę, zmarnuję kolejne pięć minut. Kolejna lampa zaczęła mrugać. Dwie żarówki mogę wymienić.

Dotarłem do rozwidlenia. Na lewo są toalety, na prawo idzie się do naszej niby—kantyny, jak ją czasami nazywamy. Lampa nad moją głową zaczęła mrugać niekontrolowanie, a ja poczułem zimno na karku.

— Co tu się wyrabia?

— Tomek! — znajomy głos biegnącego w moją stronę Krzyśka pozwolił mi się uspokoić.

Odwrociłem się w jego stronę, akurat gdy zwalniał bieg, żeby podejść normalnie.

— Co tak lecisz?

— Do kibla muszę, coś mi zaszkodziło — Krzysiek miał wyjątkowo cierpiętniczą minę.

— Zdzicha samego zostawiłeś?

Krzysiek zaśmiał się słabo przystając na chwilę przede mną.

— Bez kawy nie uśnie. Sorry, naprawdę.

Kiwnąłem i każdy z nas rozszedł się w swoją stronę. Chciałem delektować się każdą chwilą, podczas której gotuje się woda, a będę musiał się śpieszyć. Może i pan Zdzich nie uśnie, ale jeśliby trafiła nam się niespodziewana kontrola, byłoby krucho.

Zalałem termos i pobiegłem z powrotem. Dopiero przed drzwiami naszej stróżówki przypomniałem sobie o żarówkach. Jak wróci Krzysiek, to jego pogonię, żeby je wymienił.

Wszedłem do środka akurat w momencie, gdy Krzysiek opowiadał coś o serze panu Zdzichowi.

— Szybko się uwinąłeś — rzuciłem do niego podając termos seniorowi.

— O czym mówisz? — na twarzy kota jawiło się zaciekawienie.

— No, nie byłeś w kiblu?

— Nie? Ale skoro już jesteś, to polecę szybko, bo coś mnie pili...

Mogę?

Pan Zdzich przytaknął zanurzając się doszczętnie w kawie. Pewnie za jakiś kwadrans będzie chrapał w najlepsze. Nim zdążyłem rozsiaść się na swoim stanowisku, wrócił młody.

— Udało ci się donieść kawę, mimo tych przepalonych żarówek? — w jego głosie wyczułem uznanie podszyte złośliwością.

— Co? Nie dotarłeś do kibla? — warknąłem poirytowany. — Tak ciemno było?

— Byłem w kiblu — odparł tamten mierząc mnie wzrokiem przez chwilę. — Ale cały korytarz jest ciemny, poszło z pięć żarówek. Szedłem po omacku.

Zerknąłem na zegarek odruchowo, ale zdałem sobie sprawę, że nie sprawdziłem, która była godzina, gdy wróciłem z kawą. Może mnie się po prostu wszystko miesza i jak kołek stałem przez jakiś kwadrans na środku dyspozytorki.

— Dobra, chłopcy, zaraz je wymienię — zasądził pan Zdzich zakręcając pusty termos i wstając z obrotowego krzesła. — Przyda mi się trochę poruszać.

Zwłókł się ze swojego fotela (czasami miałem wrażenie, że jest do niego przyrośnięty) i dostojnym krokiem, na tyle, na ile pozwalał mu wiek i waga, opuścił stanowisko. Przyjrzałem się ustawieniom, wszystko przyjemnie buczało. Buczało uspokajająco. Łatwo można było odpłynąć w błogi sen.

— Zostało coś tej kawy? — wyrwał mnie z zamyślenia Krzysiek.

Wziąłem termos potrząsając nim lekko. Nic nie zachlupotało.

— Może pójde po nową? — zaoferował się.

— Chciałbyś. Czekamy na Zdzicha.

— Ale szybko skoczę!

— Czekamy — zarządziłem jako starszy stażem.

Jedna z kontroltek zaczęła mrugać na pomarańczowo. Zwiększało się obciążenie systemu i chłodzenie przestawało być wydajne. Zwiększyłem pracę pompy o 2% patrząc w napięciu na kontrolkę.

— Noo — ponagliłem światelko. — Zmieniaj się...

— Myślisz, że posłucha? — zażartował ironicznie Krzysiek.

Lampka przestała mrugać.

— Mnie by nie posłuchała?

Krzysiek, ignorując moje stwierdzenie, zajął się swoją stroną konsoli. Czas znowu zaczął nam się dłużyć, a pan Zdzich nie śpieszył się z powrotem. Żarówka nade mną zamrugła.

— Znowu? — westchnąłem.

— Pewnie to przez Zdzicha. Wymiana żarówek to nie lada obciążenie, a w końcu elektrownia to on.

Zaśmiałem się sztucznie. Może i złośliwość była trafiona, ale spotkałem podczas dzisiejszego dyżuru stanowczo za dużo wadliwych żarówek. Podniosłem się, żeby rozprostować kości i poszedłem włączyć radio.

— ... wracajcie z imprez, bo temperatura leci na łeb na szyję... — zakomunikował jakiś nowy koleś, którego nigdy nie słyszałem.

— Pięknie — mruknąłem. — To już wiem, z czego to zwiększone obciążenie...

— Jest zima, to jest zimno — Krzysiek wzruszył ramionami.

W stróżówce zrobiło się zimno. Roztarłem ramiona odruchowo. Nie, to tylko złudzenie.

— Cholerna noc — w pewnym momencie mój kolega przerwał ciszę, którą zaserwowała nam przerwa w audycji. — Taka sama...

Zduśliłem poirytowane westchnięcie. Lubilem Krzyśka, nie, tolerowałem go. Żeby z nim pracować — bez trudu, ale nie zamierzałem wysłuchiwać jego wynurzeń.

— Jaka? — zapytałem wbrew sobie. Jak nie dam mu się teraz wygadać, to będzie mnie wkurzał półsłówkami przez resztę nocy.

— Wiesz, że pracowałem wcześniej we Francji?

Pokiwałem głową nieobecnie. Miałem wrażenie, że robi się coraz zimniej, choć przy otaczającej nas maszynerii było to niemożliwe. Musiałem się po prostu znowu zasiedzieć.

— Dokładnie rok temu. Było nas czterech na zmianie. Inne procedury — wyjaśnił. — Jeden, w sumie młodszy od nas, strasznie źle się czuł. Miał niedoleczoną gripę albo jakieś zapalenie oskrzeli. Byłem odpowiedzialny za całą zmianę. Chciał iść wcześniej do domu...

Przerwał na chwilę, a ja roztarłem zmarznięte dłonie. Wydawało mi się, że widzę parę wydobywającą się przy każdym oddechu z ust.

— Ale jak kazałem mu iść na ostry dyżur, to się migał — kontynuował, choć ledwo go słuchałem, byłem zbyt zajęty zakładaniem polarowej bluzy. — Więc stanęło na tym, że kazałem mu siedzieć do rana. Jeślibym go zwolnił bez podkładki, to wiesz, co bym potem miał...

Przytaknąłem. Wiem, co by miał. Co bym miał.

— A on jakoś nad ranem dostał ataku kaszlu takiego, że z resztą nie wiedzieliśmy co z nim zrobić. Od razu zadzwoniliśmy po pogotowie, ale zanim przyjechali, chłopak zrobił się cały czerwony na twarzy, a potem bardzo szybko siniał. Jak przyjechali, to było za późno. Udusił się własnym harkiem. Wyobrażasz to sobie?!

— To nie była nasza wina... — rzuciłem wstając. Było tak cholernie zimno, że nie mogłem się skupić na kontrolkach. — Gdzie ten Zdzich? Coś trzeba zrobić z grzaniem, bo się chyba kaloryfer zapowietrzył.

— Mówili, że tak się zdarza przy oskrzelach — kontynuował niewzruszony Krzysiek. Nie wyglądał jakby było mu zimno. Przetawił coś na konsoli. — Że możesz się utopić flegmą z płuc, jak nie wyleczysz oskrzeli. Łapie skurcz i mogiła. Jak nie puści sam, to jesteś trup.

Złapałem się za głowę. Miałem rozpalone czoło. Może to nie zimno, tylko gorączka. Wspaniale, L4 w gorącym okresie.

— Ale gdyby poszedł do lekarza, dostałby coś, co mogłoby go uratować... Głupi był, prawda?

Odkaszlnąłem. W ustach pozostał metaliczny posmak.

— Nie chciał iść na ostry dyżur — powiedziałem, choć głos mi się załamał. Chciało mi się pić.

— Chciałem, nie pamiętasz? — głos Krzyśka zaświdrował mi nieprzyjemnie w uszach. — Tylko, że było za dużo roboty i kazałeś mi czekać do rana.

Nie mogłem złapać tchu. Usiadłem na zimnej podłodze otwierając usta szeroko, ale powietrze nie chciało wejść. Po prostu. Nic mnie nie paliło, nie bolało. Po prostu przestałem oddychać.